



## MIECZYŚLAW KIETA

Ósmy dzień rozprawy, 19 marca 1947 r.

**Świadek** podał co do swej osoby: **Mieczysław Kieta, 33 lata, dziennikarz, żonaty, wyznania rzymskokatolickiego, dla stron obcy.**

**Przewodniczący:** Jakie są wnioski stron co do trybu przesłuchania świadka?

**Prokurator Cyprian:** Zwalniamy z przysięgi.

**Adwokat Umbreit:** Zwalniamy.

**Przewodniczący:** Za zgodą stron Trybunał postanowił zwolnić świadka z przysięgi. Upominam świadka o obowiązku zeznawania prawdy i o odpowiedzialności karnej za fałszywe zeznania.

W jakich okolicznościach świadek dostał się do obozu i co może zeznać w niniejszej sprawie?

**Świadek:** 23 czerwca 1942 r. w nocy zostałem aresztowany w Krakowie razem z ojcem. Po pobycie w więzieniu na Montelupich 17 sierpnia tegoż roku zostałem przewieziony razem z ojcem do obozu w Oświęcimiu. Był to transport, który obejmował pięciu więźniów politycznych i czterdziestu kilku więźniów kryminalnych z [więzienia w] Świętym Krzyżu, którzy odsiadywali kary wyznaczone przez polski sąd. Jednego więźnia przyprowadzono do naszego transportu skutego kajdanami, osądzony był przez polski sąd za matkobójstwo. Transport przybył do Oświęcimia. Po załatwieniu wstępnych formalności [przez SS-manów] więźniowie polityczni i ci kryminalni otrzymali wszyscy czerwone winkle – wszyscy zostali podciągnięci pod kategorię więźniów politycznych. Po załatwieniu wstępnych formalności [przez SS-manów] zostaliśmy przed blokiem 28. rozebrani do naga, gdzie odbywało się ważenie, zapisywanie złotych zębów i wypełnianie kartotek obozowych. Za blokiem 28. stało wielkie auto ciężarowe przykryte brezentem. Z tego auta spływała obficie krew, która rynsztokiem spływała do kanału. Wzbudziło to konsternację w naszym transporcie. Było przypuszczenie, że to jest mięso do kuchni; potem, ponieważ to było pod oknem sali operacyjnej na bloku 20., były i takie komentarze, że to są części po amputacji. W pewnym momencie przybiegli kapo niemieccy, przepędzili nas kijami. Auto ruszyło, na zakręcie wiatr

odwiał brezent. Samochód był wypełniony stosem zwłok, które opływały krwią, to jest sto kilkadziesiąt osób, które w tym dniu zostały przed południem rozstrzelane na bloku 11.

Kwarantanny nie odbywaliśmy. Zaraz następnego dnia wzięto nas do pracy. Ponieważ byliśmy *Zugangami*, przez trzy dni nie otrzymywaliśmy wyżywienia. Było to w obozie utartym zwyczajem, który władze SS tolerowały.

Z początku pracowałem przy regulacji Soły, do momentu wielkiej selekcji, bodaj pierwszej selekcji. Wybrano wszystkich po tyfusie, wybrano wszystkich starszych mężczyzn w obozie. To było wieczorem. Nie mogę sobie przypomnieć, czy był oskarżony. Widziałem *Lagerführera* Aumeiera i *Rapportführera*. Przyglądali się obydwoj pod kuchnią. [Wybrani] byli zdrowymi ludźmi. Selekcja dotyczyła każdego, kto miał drobne zadraśnięcia lub lekkie skaleczenie nóg. To było 27 sierpnia 1942 r. Do mnie nie doszło, bo to się odbywało w nocy, po apelu, przy ręcznym reflektorze. Ludzi załadowano na auta ciężarowe i wywieziono w kierunku Brzezinki. Krążyły wersje, podtrzymywane przez więźniów Niemców, że chodziło o przeprowadzenie selekcji dla wybrania ludzi, którzy będą powołani na stanowiska blokowych, stubowych i innych w nowo zakładanym obozie w Brzezince.

O losie tych ludzi dowiedziałem się później. Ponieważ między wywiezionymi był i mój ojciec, starałem się [czegoś] dowiedzieć przez furmanów, instalatorów, którzy chodzili do pracy. Potem, kiedy pracowałem w kancelarii szpitala, przeczytałem w kartotece, że pierwszy ten transport przewieziony do Brzezinki został zagazowany 30 sierpnia. Na wszystkich kartotekach, nie tylko mego ojca, ale i znajomych z Krakowa, jako przyczynę śmierci podano *Fleckfieber* lub *Herzschlag*. Na wolności dowiedzieliśmy się, że przyszło zawiadomienie do domu, które zresztą nie zgadzało się z adnotacją w kartotece, ponieważ matka otrzymała depezę o śmierci ojca na skutek *Fleckfieber*, a w kartotece było *Herzschlag*.

Po tej selekcji, na początku września zostałem przeniesiony na połowę obozu, którą opuściły kobiety. Chodziło o pierwszą część obozu, o obóz męski, który został opróżniony w wyniku selekcji. Miała być dezynfekcja. Chodziło o zlikwidowanie tyfusu. Zostałem przydzielony na blok 10., który był dopiero co po remoncie. Wtedy jeszcze stały drabiny malarskie, podłogi były pokryte wapnem i była ciężka praca, żeby to wyczyścić. Blok ten graniczył z blokiem 11. Okna wychodzące na to podwórze były zasłonięte deskami, [między] którymi były dość duże szczeliny. Widziałem wtedy, że na bloku 11. odbywały się egzekucje. W trakcie egzekucji

nikomu z personelu nie wolno było przebywać na prawej części bloku, który był podzielony na dwie części: prawą i lewą.

Przełożonym był Niemiec kryminalista, nie pamiętam nazwiska, który siedział 12 lat w obozie koncentracyjnym i specjalnie maltretował mnie. Chodziło o to, że trochę się opóźniłem z pracą. Miałem dwie sale do uporządkowania i nie bardzo sobie z tym radziłem. Bojąc się go, pozostałem w prawej części bloku, mimo zarządzenia blokowego, że nie wolno nikomu w niej pozostawać. Raz jedyne widziałem przez szparę egzekucję. Zostało rozstrzelanych kilkoro ludzi. Na podwórzu był Palitzsch. Był także i *Lagerführer* Aumeier, który nadszedł trochę później. Rozstrzeliwanie odbywało się nie przy ścianie, ale w pobliżu schodów, które prowadziły do bloku 11. Palitzsch stał za betonową framugą, tak że skazany schodząc, otrzymywał strzał w tył głowy. Widziałem taki moment, po którym usunąłem się z tej sali, [mianowicie] kiedy jeden z rozstrzeliwanych, Czech, wołał po czesku: „Jezus, Maria”, rzucił się do nóg Aumeierowi i prosił go widocznie o łaskę. Ten go kopnął, wyciągnął pistolet i zastrzelił go na ziemi.

Ponieważ zachorowałem w tym czasie, zostałem przeniesiony przez *Lagerführera* Bruna do innej pracy. Byłem przy budowie wodociągów. To było za magazynem monopolu z piekarnią. Widziałem [tam] po raz pierwszy oskarżonego. Była to jakaś inspekcja, SS-mani, *Kommandoführerzy* zapowiadali, że będzie wielki *Besuch*. Musieliśmy więc wydajniej pracować.

To było na początku września, w pierwszych dniach po tamtej selekcji. Po apelu Aumeier w imieniu komendanta Hößa przemawiał ze schodków bloku 5. czy 6. Opowiadał: „My nie chcemy, abyście umierali, nam zależy tylko na waszej pracy”. Po dwóch dniach wniesiono tam szubienicę, odbywały się egzekucje, które były zaprzeczeniem słów przedtem powiedzianych. Nie pamiętam daty, tylko dzień: człowiek wyprowadzony z bloku 11. przechodził przed frontem, który stał na apelu, i zbliżając się do szubienicy powiedział, że ładnie mu się tydzień zaczyna.

Potem zachorowałem, przechodziłem przez szereg chorób, od tyfusu brzuszego, przez różę, szkarlatynę, do tyfusu plamistego. W przerwach pracowałem na bloku 20. Wiosną 1943 r. dostałem się do Instytutu Higieny. Instytut ten był zapowiadany na szeroką skalę. Remontowano blok 10. Sprowadzano tam olbrzymie aparaty, były olbrzymie kable wysokiego napięcia, kabiny o warstwie betonowej. Spodziewaliśmy się, że tam powstanie coś nowego. Przyjechała do obozu grupa docenta Flecka ze Lwowa z żonami i dziećmi, miały one po dwa,

trzy lata. Dzieci tych nie zabrano, kobiet nie oddzielono. Sprowadzili się do obozu męskiego. I właściwie z tym zespołem całym był wielki kłopot, bo władze obozowe nie wiedziały, jak do niego podejść. Przypuszczano, że to był wyraźny rozkaz centrali. Nie było innego wyjścia – umieszczono ich na bloku 20., infekcyjnym, gdzie mieszkałem. Grupa ta opowiadała, że przyjechała do laboratorium, jak mówiło im gestapo lwowskie, że nie są więźniami, chociaż otrzymali pasiaki i numery, i że będą pracownikami. W praktyce okazało się inaczej. Równocześnie nastąpiła trzecia rzecz, która wiązała się z poprzednimi. Było to stworzenie na bloku 20. z rekonwalescentów po tyfusie grup krwiodawców. Pojawili się nieznani nam SS-mani, którzy zaczęli przeprowadzać badania grup krwi u więźniów. Tym badaniom podlegał każdy więzień, który leżał na bloku 20. Potem wydzielono ich do specjalnej sali. Przydzielono im specjalnego pielęgniarza i nikt nie miał dostępu na tę salę, tylko ci nieznani nam SS-mani. Zaczął się pojawiać młody oficer w randze *Untersturmführera* – szef instytutu, który właśnie wtedy się tworzył. Do instytutu tego dostałem się przypadkowo. Mieli oni zapotrzebowanie na człowieka piszącego na maszynie. Kiedy dowiedzieli się, że piszę na maszynie, ten *Untersturmführer* sprowadził mnie na dół i przedstawił Weberowi. Weber, gdy dowiedział się, że jestem Polakiem, skrzywił się, ale ostatecznie mnie przyjęto. I w ten sposób zacząłem pracować w tym instytucie.

Początkowo mieścił się on na bloku 10., gdzie sprowadzono żonę dr. Flecka, żonę dr. Seemanna i inne. Na tym bloku 10. powstały stacja badania wody, laboratorium histologiczne i laboratorium bakteriologiczne, które prowadził prof. Tomaszek z czeskiego uniwersytetu w Brnie. To był początek instytutu. Ja pracowałem w części administracyjnej. Mieściła się ona obok Wydziału Politycznego, na strychu. Przychodziły różne aparaty, wagi precyzyjne; aparaty przeważnie z Paryża, również od Bergmana i Altmana z Berlina, z Aten i Salonik. Dużo było także aparatów holenderskich.

Na wiosnę 1943 r., zaraz po Wielkiejnocy, nasze laboratorium przeniosło się do Rajska, pięć kilometrów od obozu. Tam wykończona została na gwałt olbrzymia willa, zaopatrzona w najnowocześniejsze adaptacje, w specjalne pompy wodne, w centralne ogrzewanie. Pokoje przeznaczone na laboratoria zaopatrzone były w gaz i elektryczność. W ciągu miesiąca Weber zlikwidował laboratoria na bloku 10., pozostawił tylko jedno małe laboratorium na bloku 20. i stworzył placówkę, która nazywała się (kilka słów po niemiecku), był to tzw. Instytut Higieny. Obejmował on południowo-wschodnią Europę. Takich instytutów główna centrala SS w Berlinie miała na terenie Europy kilka. Oprócz instytutu, który był na północy,

w Finlandii, drugi był we Wrocławiu, potem w Oświęcimiu, we Lwowie, w Kijowie, a najdalszy instytut miał być na Kaukazie. Widziałem na własne oczy wiele broszur, które obejmowały zagadnienia klimatu kaukaskiego, zagadnienia antropologiczne itd. Ze względu na sytuację na froncie ten ostatni instytut nie powstał.

Nasz instytut miał pracować przede wszystkim dla SS i policji. Obejmował on pod koniec 1940 r. zespół 120 ludzi. Byli w nim profesorowie uniwersytetów, była grupa dr. Flecka, była grupa Lewina z Instytutu Pasteura w Paryżu, byli lekarze z Amsterdamu, Aten, Salonik, byli polscy profesorowie, jak prof. Ślebodziński – matematyk, który obecnie jest profesorem we Wrocławiu. Ten instytut miał za zadanie przeprowadzanie badań klinicznych. Obejmował wszystkie szpitale w Krakowie, Tarnowie, Krynicy, Pustkowie pod Poznaniem, we Wrocławiu, a poza tym pracował dla więźniów o tyle, że przeprowadzał badania kliniczne kału, moczu, krwi i przysyłał potem wyniki do obozu w Oświęcimiu.

Rezultaty tych badań były następujące. W 1943 r. Weber wpadł na pomysł, żeby przeprowadzić masowe badania nad malarią w Oświęcimiu. Pod pewnymi rygorami musiał się im poddać każdy więzień. Rezultat tych badań był taki, że każdy wynik pozytywny był wciągnięty na osobne listy i tak w lecie 1943 r. doszedł do skutku duży transport, który obejmował wszystkich więźniów podejrzanych o malarię, i został wysłany do Majdanka pod Lublinem, gdzie wszyscy zginęli w komorze gazowej.

Poza tym głównym celem instytutu było doświadczalnictwo. Weber chciał stworzyć nową metodę do oznaczania grup krwi. Miała to być metoda o wiele prostsza i lepsza w porównaniu z dotychczasowymi. Chodziło mu o wydzielenie globuliny z krwi, żeby nie używać surowicy w postaci płynu. Odkrycia tego dokonał dr Lewin, praktyk Instytutu Pasteura w Paryżu. Udało mu się wydzielić tę globulinę, tak że odtąd wyznaczenie grupy krwi mogło się odbywać za pomocą pastylek. Lewin wysłał tę pracę do Berlina, otrzymał za nią pewne wynagrodzenie ze strony centralnego Instytutu Higieny. Do wydzielania globuliny potrzebne były znaczne ilości krwi, nie zwierzęcej, ale ludzkiej. Dlatego też załoga SS, która wchodziła w skład [zespołu] tego instytutu, wyjeżdżała raz lub dwa razy na tydzień na blok 11., gdzie, asystując przy rozstrzelaniach, podstawiała pod stygnące zwłoki sterylizowane butelki albo słoje i te słoje, zabezpieczone później w gazie i wacie, przewoziła do laboratorium. Tę krew potem centryfugowano i z tej surowicy wytwarzano globulinę.

Poza tym najważniejszym dziełem, filarem instytutu było laboratorium bakteriologiczne. Miało ono cały szereg posiewów bakteryjnych szkarlatyny, po wszystkie rodzaje tyfusu brzuszego. [Chodziło o to,] aby stworzyć odpowiednie warunki do rozwoju tych bakterii – żeby miały one swoistą atmosferę, sprzyjające okoliczności i odpowiednią pożywkę. Do tego potrzeba było bulionu z mięsem.

W tym celu Weber z *Unterscharführerem* Fuggerem i [SS-manem] Fablem wyjeżdżali raz albo dwa razy na tydzień z wiadrami, które były przykryte gazą, w stronę krematorium I, a potem na blok 11. i przynosili pełne wiadra mięsa. Ilość tego mięsa mogła wynosić 30–60 kg. Początkowo nie orientowaliśmy się, o jakie mięso chodzi. Były to zwykłe preparowane mięśnie. To mięso, krojone na kawałki, wędrowało potem do autoklawu i tam było wygotowywane. Czysty i klarowny bulion z niego był zlewany do wielkich, 10-, 15-litrowych szklanych kolb. Mięso [zaś] kazali nam SS-mani wyrzucać albo pomijali je milczeniem. Przez długi czas, bo przez cztery tygodnie, a nawet dwa miesiące, wszyscy więźniowie – mieliśmy ciężkie warunki – to mięso spożywali.

Pewnego dnia przyszedł transport tego mięsa i zauważyłem w jednym z wiader na kawałku mięsa strzęp skóry. Ponieważ była to skóra podobna do świńskiej, rozgłosiłem to po laboratorium i wszyscy ucieszyli się, że jedli wieprzowinę. Ale po bliższych oględzinach okazało się, że nie jest to skóra świńska, bo jest za delikatna, zupełnie biała i pokryta jak gdyby złotym meshkiem. Poszedłem wtedy do dr. Korna ze Słowacji, który był naszym kapo, i do dr. Janusza Mąkowskiego, histologa z Uniwersytetu Poznańskiego, i oni przeprowadzili badanie. Okazało się, że to jest skóra ludzka, kobieca. Przy dalszych oględzinach doszliśmy do wniosku, że Weber, Fugger i Fabel wybierali części ciała najbardziej zaopatrzone w mięśnie, a więc piersi kobiet, pośladki i uda. Potwierdziło się to z relacji świadków, którzy zamieszkiwali blok 10.

Po tym odkryciu wszyscy, którzy to jedli, dostali gwałtownych torsji.

Podobna historia powtórzyła się z krwią. Krew ta, jak zaznaczyłem, była brana albo od rozstrzelanych, albo od rekonwalescentów – od tych krwiodawców. O tyle orientuję się w tej sprawie, że przed każdym przyjazdem Webera musiałem przygotować odpowiedni zestaw naczyń do tych celów. Jeżeli wyjeżdżał, żeby pobrać krew rekonwalescentom, musiałem wysterylizować kilkadziesiąt flaszek po 700 cm<sup>3</sup> albo jeden litr każda. Flaszki te wracały zwykle pełne. Z opowiadań lekarzy, na których bloku odbywało się to pobieranie

krwi, wynikało, że ludzie mdleli na stołach operacyjnych. Zabieg ten był wykonywany najgrubszymi igłami, które służyły do pobierania krwi z aorty z szyi barana. Mieliśmy cztery barany i dwa ślepe konie.

Po odwirowaniu, po usunięciu surowicy zostawały czerwone ciałka, zostawał skrzep. Wśród personelu było zaledwie 12 takich, którzy dostawali paczki z domu, byli to Polacy, reszta, zwłaszcza Grecy, pozbawieni byli pomocy żywnościowej, często więc przyrządzali ten skrzep z margaryną i z chlebem.

Szefem załogi SS, która pracowała w tym instytucie, był Weber. W 1943 r. przyszedł jako *Unterscharrführer*, a niedługo został *Hauptscharrführerem*. Ponieważ w tym czasie bawił profesor z Berlina, który był szefem centrali, pamiętam, że Weber z radością i dumą pokazywał mu rząd flaszek z napisem „Menschenboullion”.

Jak mówiłem, w instytucie było kilka sztuk zwierząt do celów doświadczalnych. Cztery barany, dwa konie, dużo świnek morskich i białe myszy. Baranom pobieraliśmy krew dla stacji Wassermanna i nie wolno było wytoczyć baranowi więcej niż 30–50 cm<sup>3</sup> krwi. Tymczasem ludziom na blokach 19. i 9. pobierano 750 cm<sup>3</sup> albo jeden litr krwi. Było kilka zgonów na skutek tego. Krwiodawcy mieli otrzymywać dodatek w postaci chleba i kiełbasy. Zachodziły często wypadki, że tej kiełbasy nie otrzymywali, a dzielili się nią SS-mani zatrudnieni w laboratorium.

Skład [zespołu] laboratorium był więc następujący. Weber był szefem, Weber miał doktorat. To był syn profesora z Monachium. Miał doktorat z medycyny i podobno z biologii, który miał obronić w Stanach Zjednoczonych. Jego zastępcą był dr Münch, był on asystentem i docentem jednego z niemieckich uniwersytetów. Przyszedł do nas w 1943 r. w lecie jako zwykły *Sturmann*. W ciągu tygodnia awansował na *Scharrführera*. Wkrótce wyjechał na dziesięciodniowy kurs. Nie chodziło tu o kurs naukowy, bo miał pełne kwalifikacje naukowe do pracy w naszym laboratorium, ale prawdopodobnie o kurs dla SS-manów, jak ma postępować z więźniami. Potem został *Untersturmführerem*, a potem *Hauptsturmführerem*.

Münch wpadł na pomysł, że można leczyć reumatyzm za pomocą zastrzyków.

W laboratorium powstał dział, którym on kierował, gdzie przeprowadzał zastrzyki. Ludzie dostawali gwałtownej gorączki i ataków reumatyzmu, [a] po nich – krzywicy członków.

W laboratorium wprowadzono nie tylko badania bakteriologiczne, które były podstawą laboratorium, ale i bogaty dział chemiczny. Dział ten obejmował badania żywności nadsyłanej zarówno dla kuchni więziennej, jak i dla [kuchni] SS. Każde takie badanie, nadsyłane ze szpitala SS lub obozu do laboratorium z jakiegokolwiek placówki żywnościowej musiało być zaopatrzone w tzw. *Lieferschein*, zostawało w *Schreibstube*, wpisywane było do ksiąg, po dokonanej analizie wyniki były zapisywane w książce. Na tej podstawie stwierdziłem, że żywność przeznaczona dla więźniów, a więc kiełbasa – pasztetówka – zawierała w najbardziej drastycznym przypadku osiemdziesiąt kilka procent wody, gdy ta sama kiełbasa przeznaczona dla SS-manów 60, 50 proc. wody. Zawartość białka w kiełbasie dla więźniów była o wiele mniejsza niż w kiełbasie dla SS-manów. Co tydzień nadchodziły badania chleba obozowego. Reakcja cynku na chleb stwierdziła ogromną zawartość celulozy, trzy czy cztery krzyżyki. Wszystkie te dokumenty, które obejmują całość pracy laboratorium, w 1946 r. na wiosnę odnalazłem w Oświęcimiu, bo były ukryte. Przywiozłem [je] do Krakowa i przekazałem Komisji Badania Zbrodni Niemieckich. Przy przeglądaniu dokumentów potwierdziłem swoje spostrzeżenia. Na drugim piętrze, na oddziale serologicznym, dokonałem zdjęć. Słoiki z krwią wręczył mi *Sturmkapo* Filip Meier. Miałem filmy, mieliśmy tam stworzyć laboratorium fotochemiczne, w którym wywoływałyoby się zdjęcia naukowe. To nie doszło do skutku. U mnie leżał cały zestaw, szereg filmów różnej czułości. Meier o tym wiedział, był moim bezpośrednim szefem i żył w dość dobrej komitywie z więźniami. Był gościem, woził listy do Krakowa, przyjeżdżał tam raz na tydzień. Wykonałem tylko dwa zdjęcia i przysłałem je pocztą przez niego do Krakowa, zresztą bez jego wiedzy.

Oskarżonego spotykałem dość często, idąc drogą z Oświęcimia do laboratorium w Rajsku. Spotykaliśmy oskarżonego odbywającego przejażdżkę konną między godz. 6.00 a 7.00 rano w towarzystwie adiutanta i swego syna. Przejeżdżał zwykle taką drogą przez pole, niedaleko toru koło Birkenau, a następnie wracał okrężną drogą z *Gärtnerrei* Rajska do willi drogą, którą się szło do pracy. Przed oskarżonym wszyscy żywili pewien rodzaj lęku. Idąc do pracy, w każdym momencie obawialiśmy się zetknięcia się z nim i jakiegoś konfliktu. Raz się złożyło, że oskarżony zatrzymał konia, to było w 1943 r. w lecie, miał pretensję do kapo, że wydał za późno rozkaz zdjęcia czapek. Nie pamiętam, czy go uderzył, w każdym razie zwymyślał nas, obrzucił nas wieloma wyzwiskami, zaciął konia i z synem i adiutantem pojechali do willi.

Pracując w tym laboratorium, widziałem przygotowany cały szereg zestawów chemicznych i różnych preparatów. Przeznaczenie ich było owiane tajemnicą, ale zdziwiło mnie, że Weber kazał mi zamawiać z Berlina dużo pudełek z surowicą [zawierającą pałeczkę] Banga – [*Brucella*]

*abortus* – [brak] do spędzania płodu u konia. Co pewien czas żądał takiego opakowania. Jak się później dowiedziałem, ta surowica była wykorzystywana na bloku 10. przy dokonywaniu sztucznych poronień. Tak oświadczyli lekarze bloku 10., poza tym pacjentki z tego bloku często przychodziły do naszego laboratorium, bo wiele było pacjentkami doświadczalnymi Webera i Müncha. Skarżyły się po zastrzyku – jego dawka była na wywołanie spędzenia płodu u konia, zastosowana na człowieku wywoływała naturalnie silne krwotoki, krwawienia, które często kończyły się zgonem.

Jeżeli chodzi o skład [zespołu] laboratorium, to poza Weberem i Münchem reszta [to] byli półinteligenci, którzy piastowali wysokie funkcje. Zabel był z zawodu malarzem pokojowym, dokonywał na własną rękę pobierania krwi. Widziałem kilkakrotnie, jak pobierał krew, kiedy przyszedł rozkaz z Berlina, by zbadać nomę – raka wodnego, który zaczął panować w obozie cygańskim. Noma jest rzadko spotykana w Europie i było polecenie ze strony Berlina, by [instytut] przeprowadził nad nią badania. Odbywało się to w ten sposób, że dzieci cygańskie, wygłodzone, wycieńczone do granic możliwości, których usta w wielu przypadkach ogarnął rak, kładło się na stole i największą igłą, która nie mieściła się do dziecięcych żył, pobierano krew. Były często selekcje Cyganiątek. Weber stworzył sobie kolekcję głów, cztery w wielkich stojach przeznaczonych do hodowli myszy. Były konserwowane w formalinie. SS-mani odbywali wprost pielgrzymki do instytutu, by oglądać to widowisko.

Drugim takim SS-manem był szef laboratorium chemicznego, który był kołodziejem, inny był z zawodu robotnikiem kamieniarzem – ten był znów szefem stacji meteorologicznej. Instytut był wyposażony w liczne aparaty, których wartość szła w miliony marek niemieckich. Tak np. rozporządzaliśmy jedynym bodajże na terenie Europy południowo-wschodniej jonometrem, który służył do określenia kwasoty w ziemi. Na tym jonometrze przeprowadzone były badania kwasoty ziemi w Oświęcimiu przez sąsiadującą z nami instytucję *Pflanzenzucht*, gdzie Niemcy uprawiali kok-sagiz – roślinę z Rosji [wykorzystywaną] do produkcji syntetycznego kauczuku. Badania na jonometrze wykazały znaczną kwasotę ziemi w Oświęcimiu. Na skutek tych pomiarów posypano potem tereny należące do *Pflanzenzucht* popiołem z Oświęcimia, żeby ziemia była bardziej alkaliczna. Badania z 1944 r. nie wykazały już żadnej kwasoty i Caesar, *Obersturmführer*, który był szefem laboratorium w tym *Pflanzenzuchcie*, chwalił się, że nigdzie nie rośnie tak wielka kapusta jak u niego na alkalicznej ziemi, która straciła kwasotę przez wysypanie ludzkiego popiołu. W 1944 r. Weber dla utrzymania całego zespołu SS-manów, z których żaden nie chciał iść na front, wpadł na pomysł przeprowadzania badań całego obozu

na lues. Ponieważ stacja Wassermannowska była dość ograniczona ze względu na szczupłość miejsca i nie posiadała bardzo drogiego odczynnika, zawiesiny złota, aerozolu, badania te przeprowadzano metodą [brak].

Ponieważ front szybko się zbliżał, konsekwencje tych badań nie zostały wyciągnięte, jak w przypadku malarii. Jeżeli chodzi o malarię, to przypominam sobie, że po transportach greckich i cygańskich stwierdzono trzy czy cztery wypadki malarii tropikalnej, która na naszej szerokości geograficznej jest bardzo rzadkim zjawiskiem. Normalnie jest to kwartowa i tercjowa. Na skutek badań w naszym instytucie, w kwestii malarii podjęto energiczną walkę z komarami. Zaangażowano do tej akcji samoloty, które rozrzuciły proszek zabijający komary, wskutek czego wyginęła olbrzymia liczba ryb w jeziorze w Harmężach.

Chciałbym jeszcze powiedzieć, że przeprowadzający te badania zespół więźniów, którzy pracowali w Instytucie Higieny, pamiętając doświadczenia z malarią, w wielu wypadkach fałszował analizy dla ratowania życia swoich kolegów. Innym zaś razem chodziło o SS-mana – pamiętam, że przyszła analiza z Krakowa jakiegoś wyższego oficera SS, chodziło o stwierdzenie, czy na [jego] jądrze jest rak. Wtedy tam [go] nie było, analiza jednak wypadła pomyślnie i przyszło zawiadomienie po tygodniu, że ten człowiek został pozbawiony jądra. To była jedna z metod walki. Pracowało się pod ścisłą kontrolą SS-manów, nie można więc było ratować kolegów [i chociaż] w ten sposób niektórzy lekarze mogli osiągnąć rekompensatę w walce.

To byłoby mniej więcej wszystko.

**Adwokat Ostaszewski:** Chodzi o wyjaśnienie tego okropnego fragmentu o jedzeniu ludzkiego mięsa. Dlaczego to było?

**Świadek:** Powodem było to, że ludzie byli głodni. Praca była wyczerpująca, naukowa. Od nas wymagano o wiele więcej niż od przeciętnego więźnia, którzy pracował na polu, przy kilofie czy łopacie, który zawsze znalazł chwilę odpoczynku, mógł się dekwować. My pracowaliśmy stale pod kontrolą oficerów SS: Müncha, Delmonte'a [Delmotte'a], Liebehenschela. Za każdy drobiazg, za każdą pomyłkę w analizie groziła kara śmierci za sabotaż. Byliśmy ciągle w wielkim niebezpieczeństwie, bo stale byliśmy przy żywych kulturach tyfusu, szkarlatyny, malarii, gruźlicy, stale narażeni na zakażenie. Z drugiej strony nie otrzymywaliśmy żadnych dodatków. Poza tym było to takie komando, że nie można było niczego „zorganizować”. Jeżeli ktoś pracował w magazynie albo przy burakach, mógł coś ukraść. Jeżeliby się nam

udało ukraść cyjankali czy odczynnik chemiczny, nie byłoby [w tym] żadnego celu. Ludzie byli wygłodzeni. Nie otrzymywaliśmy paczek. Byliśmy odcięci od obozu dużą odległością, tak że wracaliśmy do niego późno z pracy. Mieszkaliśmy w baraku infekcyjnym. Kontakt z obozem był żaden. Nie mogliśmy „zorganizować” niczego. Mieliśmy ograniczone możliwości. Ludzie być może nie zdawali sobie [z tego] sprawy.

*Unterscharrführerzy* Schumann, Fige, Fagner wpadali do hali, gdzie były autoklawy, [raz] zobaczyli, że pracownicy jedzą tam to mięso. Roześmiali się i powiedzieli: „Guten Appetit, wie schmeckt [es]?”. Zdaje się, że zdawali sobie sprawę, że to było mięso ludzkie.

Dostarczano nam poronione młode konie z hodowli koni. Był to jeszcze płód nieuformowany, w postaci półgalaretowatej. Szło o zbadanie przyczyn poronienia. Normalnie nadawałoby się to do wyrzucenia i zakopania. Również króliki zakażone kokcydiozą nie zostały wyrzucane na śmietnik, ale ginęły w żołądkach ludzi. Z głodu. Tak samo było z kaczką Liebehenschela, któremu zdechła i przysłano [ją] do zbadania. Analiza wykazała, że był to prawdopodobnie wypadek cholery. Kaczka nie nadawała się do spożycia. A jednak oskubano ją z pierza, ugotowano i zjedzono i nikt nie zachorował.

**Adwokat Ostaszewski:** Jaki jest zawód świadka? Bo świadek się doskonale orientuje.

**Świadek:** Jestem z zawodu dziennikarzem. Kiedy przybyłem do obozu, zorientowałem się w [panujących tam] stosunkach: co czeka profesora, urzędnika czy inteligenta. Podałem zawód elektrotechnika i palacza kotłowego, zresztą miałem do tego pewne podstawy. W czasie okupacji zdążyłem przejść pewną praktykę w tym zakresie. Potem – kiedy się przekonałem, że do utrzymania życia odpowiednia będzie tylko praca w szpitalu nie jako lekarza, a pielęgniarza, która polegała na wynoszeniu nocników i podcieraniu chorych – podałem, że ukończyłem rok medycyny.

**Adwokat Umbreit:** Świadek mówił o jakimś wycinku z jądra i o pozbawieniu kogoś życia. Jak to wyglądało?

**Świadek:** Chodziło o analizę przesłaną przez SS-Lazarett w Krakowie, a dotyczącą jednego z oficerów SS, Niemca. Jest rzeczą pewną, że człowiek, nie wierząc w możliwości wyjścia z obozu, gdyby zdarzyło mu się dorwać do karabinu, użyłby go w celu, do jakiego [ten] jest przeznaczony. Jeżeli nie była możliwa ta metoda walki, to nie dziwię się, że koledzy lekarze mogli znaleźć w tym [zafałszowaniu wyników] rodzaj rekompensaty.

**Biegły Kowalski:** Świadek zeznał, że były przeprowadzane doświadczenia na kobietach przy pomocy surowicy [zawierającej pałeczkę] Banga. Czy świadek jest pewien, że to była surowica?

**Świadek:** Pracowałem w administracji. Z polecenia Webera z katalogów – musiałem się poduczyć – robiłem dwa razy w miesiącu, koło 1. i 15. [dnia], długą listę rozmaitych zamawianych odczynników. Zamawiano m.in. [surowicę zawierającą pałeczkę] Banga – [*Brucella*] *abortus*. I potem przychodziła z niemieckiej fabryki paczka z napisem, z receptą w środku. Niemieckie fabryki nie wypuszczały przecież ersatzów, środki te mogły być zastosowane nie tylko u nas, ale i gdzie indziej.

**Biegły Kowalski:** Czy świadek jest pewien, że stosowano tę surowicę do zastrzyków?

**Świadek:** Stosowania nie widziałem, ale przychodziły zapotrzebowania z laboratorium 10., urologicznego, na flakony [surowicy zawierającej pałeczkę] Banga [o pojemności] 25 albo 50 cm<sup>3</sup>.

**Biegły Kowalski:** Czy były [prowadzone] doświadczenia histopatologiczne?

**Świadek:** Były prowadzone. Monkowski, docent czy asystent Uniwersytetu Poznańskiego, i dr Kowalczyko [je] prowadzili. Wiosną lub latem 1943 r. dr Kowalczykowa została zwolniona, dzięki interwencji w Szwajcarii, z powodu ciąży i do Krakowa raz po raz jeździł kurier i przywoził od niej skrawki histopatologiczne i diagnozy do podpisu Weberowi.

**Biegły Kowalski:** Czy świadek nie widział wśród tych skrawków i wycinków części macicy?

**Świadek:** Nie znam się na tym. Trzeba przejrzeć ten materiał, który przywiozłem.

**Biegły Kowalski:** Czy świadek wśród tych preparatów nie spotkał się z płynami kontrastowymi?

**Świadek:** Spotkałem się. Nazw nie pamiętam. Miały w środku słowo „torax”.

**Biegły Kowalski:** Czy nie było jodypiny, jubrodolu?

**Świadek:** Jodypina była.

W 1944 r., w okresie największego gazowania Żydów węgierskich, przyszła do laboratorium w Rajsku duża przesyłka. Obejmowała ona pięć–sześć skrzyń o wadze stu kilo. Poza tym było

kilka skrzyń szkła z Wiednia, przeznaczonego do naszego laboratorium. Wysyłka nastąpiła z Ogrodu Zoologicznego w Berlinie. Na tych skrzyniach były duże nalepki z trupa czaszką i napisem „Achtung”. Jedna skrzynia była uszkodzona i tam w drewnianej wełnie była puszką z cyklonem. Równocześnie przyszło kilka skrzyń z próbkami na odchody do badania. Dostałem polecenie od Müncha, że część tej przesyłki mam zatrzymać dla nas, a reszta odejść dalej. Nie określił dokąd. Na drugi dzień była duża awantura, bo wysegregowałem część szkła, ale zapomniałem o naczyniach, było za mało czasu. Münch zrobił mi piekielną awanturę, dlaczego ta przesyłka nie została rozsegregowana. Zapytałem go naumyślnie w sposób dwuznaczny: „Czy ten cyklon jest przeznaczony dla nas?”. On wtedy zrobił bardzo zdziwioną minę, wybiegł z kancelarii i potem dopiero przysłał mi wiadomość telefoniczną, że to ma odejść do Pustkowa. To były ogromne ilości cyklonu. Zostały wzięte na nasz samochód i odesłane w niewiadomym dla mnie kierunku. *Schreibstube* nie wypisało żadnego adresu, tak że nie wiadomo, dokąd one pojechały.

**Przewodniczący:** Czy strony mają pytania do świadka? (Nie).

Świadek jest wolny.